

SELMA LAGERLÖF

LEGENDY O CHRYSTUSIE

NOC BOŻEGO NARODZENIA. DZIECIĘ Z BETLEEM

PRZEKŁAD C. N.

WYDANIE NOWE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
KRAKÓW ————— G. GEBETHNER I SPÓŁKA



257231

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwerytetu w Białymstoku



FUV0113780

W-60/2001

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
□ □ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □ □

נודע-ביבליאטעק
מח 33
1227
NOC BOŻEGO NARODZENIA

Wielkie zmartwienie spadło na mnie w tym roku życia: babcia nasza umarła.

Jakże się wszystko w domu zmieniło od tej chwili!

Dotąd siadywała zawsze w kącie sofy, w swoim pokoju, gdzie najczęściej się bawiłyśmy, i codzień opowiadała nam cudowne baśnie lub śpiewała prześliczne pieśni.

Nie pamiętam babci inaczej, jak siedzącą na sofie, z pończoszką w rękę, z białymi włosami, nieco pochyloną, patrzącą na nas jasnym i dziwnym spojrzeniem, jakby wiedziała wszystko, — i opowiadającą długie, długie baśnie, ile razy chcieliśmy słuchać. Ach, jak chętnie, jak uważnie słuchaliśmy ich zawsze! — jakże szczęśliwe było wtedy nasze życie! — nie znam dzieci, którym byłoby tak dobrze na świecie.

A gdy skończyła cudowną opowieść, patrzała na nas chwilę swoim jasnym wzrokiem, a potem kładła mi rękę na głowie (ponieważ zwykle najbliżej siedziałam), i mawiała spokojnie i poważnie:

— Pamiętaj, że to wszystko prawda, jak mnie tu widzisz, a ja ciebie.

Niekiedy śpiewała też prześliczne pieśni, ale nie codziennie. Pamiętam początek jednej o rycerzu i wodnicy: — »Mroźna zawieja, mroźna zawieja nad wielkiem huczy morzem!«

I jeszcze przypominam sobie jedną króciutką modlitwę, której mnie nauczyła, i jeden wiersz pieśni pobożnej.

Z baśni pozostało niejasne wspomnienie, żadnej nie mogłabym powtórzyć, — ale pamiętam dobrze jej opowieść o nocy, w której się Chrystus narodził.

To wszystko, co pozostało mi po babci, którą tak bardzo, tak mocno kochałam, że nie umiałam wyobrazić sobie życia, kiedy nam jej zabrakło.

Pamiętam ranek, kiedy po raz pierwszy spojrzaliśmy na pustą sofę. Cóż teraz z nami będzie? Nie umiałyśmy pojąć, jak ten dzień upłynie. Wszystkie, wszystkie godziny!

Zdawało mi się, że w tej czarnej trumnie wyniesiono z naszego domu wszystkie baśnie i wszystkie pieśni — już na zawsze.

Zniknęły z naszego życia.

Zatrzasnęły się drzwi od pięknego świata czarów, gdzie dotąd przebywałyśmy tak swobodnie, — nikt nas już tam nie wprowadzi. Klucz zaginął, i niema wejścia.

Zwolna, z trudem przywykaliśmy do zabaw innych dzieci: do lalek, zwykłych cacek, — to było co innego. Mogło się zdawać komuś, że o babci zapominamy, ale ja nie zapomniałam jej nigdy,

i dziś, po czterdziestu latach, powtarzam opowieść o Narodzeniu Chrystusa, którą słyszałam od niej, tak dokładnie, jakby opowiedziała mi ją wczoraj.

* * *

Było to tak.

W wigilję Bożego Narodzenia pojechali wszyscy do kościoła na pasterkę, tylko ja i babcia zostałyśmy w domu. Ona była za stara, ja za mała, aby pojechać, i zostałyśmy same.

W domu było pusto, a nam tak bardzo smutno, żeśmy nie mogły jechać ze wszystkimi, zobaczyć żłobka pośród świec płonących, słuchać pieśni i śpiewać razem.

Wtedy babcia usiadła w rogu swojej sofy, wzięła moje ręce w swoje chude dłonie i tak zaczęła mówić:

Raz w ciemną noc wyszedł człowiek stary, aby dostać ognia.

Chodził od chaty do chaty, pukał i prosił:

— Ludzie, pomóżcie mi, użyczcie iskrę. Dzieciątko mi się urodziło, muszę rozpalić ogień, aby ogrzać żonę i dziecko. Poratujcie mnie, ludzie!

Ale noc była późna, w chatach ciemno, ludzie spali, nikt go nie słyszał.

Więc człowiek szedł wciąż dalej, upatrując blasku ognia.

Spostrzegł wreszcie płomień w oddali, na polu. Skierował się w tę stronę. Rzeczywiście płonęło tu wielkie ognisko, przygasając niekiedy; — dokoła spało mnóstwo białych owiec, a stary pasterz czuwał nad swą trzodą.

Człowiek, szukający ognia, zbliżył się pospiesznie, a wtem ujrzał u stóp pasterza trzy wielkie brytany.

Poczuwszy obcego, psy zerwały się na nogi i rozwarły szeroko paszcze, aby na niego zaszczekać, ale nie wydały głosu.

Sierść zjeżyła im się na grzbietach, białe kły błysnęły przy świetle ogniska, rzuciły się z wściekłością ku starcowi, jeden chwycił go za nogę, drugi za rękę, a trzeci za gardło, — ale zęby i szczęki ich były bezsilne, nie mogły mu wyrządzić żadnej szkody.

Człowiek otrząsnął psy, jak kurz z ubrania, i chciał iść dalej, lecz dokoła ogniska leżały białe owce, grzbiet przy grzbiecie, szeroko, że nogi nie miał gdzie postawić.

Więc zaczął iść po owcach, deptając je stopą, a żadna się nie przebudziła.

— Dlaczego, babciu? — zapytałam zdziwiona. — Dlaczego owce się nie przebudziły, choć człowiek deptał po nich?

— Zaraz się dowiesz, dziecko. — I mówiła dalej:

Gdy nieznamy nakoniec stanął przy ognisku, ujrzał go pasterz. Był to człowiek nieuczynny i ponury, — zobaczywszy obcego tak blisko, z gniewem podniósł kij okuty, który trzymał w rękę, i z całej siły rzucił nim w przybysza. Kij ze świstem przeszył powietrze, ale zamiast ugodzić prosto w cel, zwrócił się na bok i upadł gdzieś na polu.

— Babciu! dlaczego kij nie chciał uderzyć tego człowieka? — przerwałam znów zaciekawiona.

Ale babcia tym razem nie odpowiedziała mi wcale, tylko ciągnęła dalej.

Wtedy obcy przemówił do pasterza:

— Poratuj mię, przyjacielu! udziel mi trochę żaru. Urodziło mi się dzieciątko, i muszę rozniecić ogień, aby ogrzać dziecko i matkę.

Pasterz byłby odmówił, ale widział przecież, że psy jego nie mogły tego człowieka ukąsić, że owce nie zbudziły się pod jego stopą, że kij nawet uderzyć go nie chciał — więc zalekziony, nie śmiał mu zabronić i odezwał się niechętnie:

— Weź sobie, ile ci trzeba.

Lecz ogień się dopalał, — nie było w nim już większych głowni, ani płonących gałęzi, tylko wielki stos węgla, żarzących się jasnym płomieniem i rzucających migotliwe błyski. Jakże wziąć taki ogień bez łopatki, bez żadnego naczynia, w którym możnaby przenieść to żarzewie.?

— Weź, ile chcesz — powtórzył już złośliwie pasterz, bo widział, że proszący nie będzie mógł skorzystać z pozwolenia.

Ale staruszek pochylił się spokojnie, wybrał rękami co największe węgle, włożył je w połę płaszczka, niby jabłka lub orzechy, a one nie paliły mu odzieży i nie sparzyły ręki.

Nie mogłam znowu powstrzymać się od zapytania:

— Czemu te węgle, babciu, nie sparzyły człowieka i nie spaliły mu sukni?

— Zaraz się dowiesz, dziecko — odpowiedziała babcia i tak mówiła dalej:

Wówczas ponury i złośliwy pasterz zdziwił się niesłuchanie.

Co to za noc — pomyślał — że psy nie gryzą obcego, owce nie budzą się, choć po nich stąpa, kij uderzyć go nie chce, a ogień nie parzy? Zwrócił się do przybysza i zapytał:

— Co to za noc dziwna? I dlaczego wszystko okazuje ci dziś taką dobroć?

— Nie mogę ci powiedzieć tego — odparł nieznajomy — jeżeli sam nie przejrzysz.

I oddalił się spiesźnie, aby prędzej rozpalic ogień w swojej chacie i ogrzać żonę i dziecko.

Zaciekawiony pasterz poszedł za nim. Chciał się przekonać, co to wszystko znaczy, i zrozumieć te dziwy.

Postępował więc za nieznajomym, aby wejść tam, gdzie on wejdzie.

I przekonał się wkrótce, że nie miał on nawet chaty, a jego żona i dziecko znajdowały się w skalnej grocie, gdzie nie było czem przykryć zimnego i wilgotnego kamienia.

Zdumiał się znowu pasterz i, chociaż był twardego serca, uczuł litość na widok niemowlęcia, któremu przecież musiało być zimno w tej wilgotnej, ciemnej jaskini. Wzruszony, spiesźnie rozwiązał węzełek, wyjął z niego miękką, białą skórkę jagnięcą i podał ją obcemu, żeby otulił w nią biedne dzieciątko.

Ale zaledwie spełnił ten czyn miłosierny, gdy otwarły się oczy jego, i ujrzał, czego dotąd nie mógł widzieć, i usłyszał, czego nie mógł słyszeć dotąd.

Ujrzał dokoła siebie roje skrzydlatych aniołów, pełną ich była grotą, w której promieniało światło, a wszystkie grały na srebrzystych lutniach i śpiewały cudną pieśń o Zbawicielu, który narodził się właśnie tej nocy, ażeby zbawić ludzi.

Wtedy zrozumiał wszystko: dobroć zwierząt i rzeczy martwych, radość wszelkiego stworzenia na świecie.

Jakież cuda oglądał teraz! Nietylko grotą pełną była blasku, słodkiego śpiewu i jasnych postaci aniołów, ale widział ich wszędzie: w powietrzu, na górze; jedne śpiewały, płynąc, jak stada obłoków, wysoko na błękitnie; inne przesunęły się tłumem po ziemi, z lutniami w rękę, o skrzydłach srebrzystych; inne, przechodząc drogą, stawały przed grotą i zaglądały do niej, aby spojrzeć na dziecinę.

Radość i szczęście jaśniały nad ziemią, wkoło brzmiał śpiew i granie, a pasterz widział i słyszał to wszystko wśród ciemnej, chłodnej nocy, w której przedtem nic dojrzeć nie mógł.

Wtedy padł na kolana i w gorących słowach dziękował Bogu za to, że przejrzał, że zobaczył.

Westchnęła babcia i dodała jeszcze:

I my moglibyśmy zobaczyć to wszystko, co ujrzał pasterz, kiedy w sercu jego odezwała się miłość ku Narodzonemu, — i dziś tłumy aniołów płyną po niebie i ziemi, śpiewając chwałę Bożą, — trzeba tylko, byśmy przejrżeli...

A po chwili, jak zwykle, położyła mi rękę na głowie.

— Pamiętaj, że to prawda, jak mnie tu widzisz, a ja ciebie — rzekła. — Wiele jest rzeczy,

których nie widzimy, — i nie pomogą nam świece i lampki, nie pomoże księżyc, ani samo słońce, jeżeli oczy nasze nie przejrzały, — jeżeli nie mamy wzroku, który widzi Boga i chwałę Jego, jaśniającą dokoła nas, wszędzie.

DZIECIĘ Z BETLEEM.

Przed bramą miejską w Betleem rzymski żołnierz stał na warcie. Miał na sobie żelazny pancerz, na głowie hełm błyszczący, u boku miecz, a w ręku długą włócznię. Moznaby myśleć, iż jest wykuty z żelaza, tak stał prosto, nie poruszając się z miejsca. Ludzie wchodzili do miasta i wychodzili przez bramę, ubodzy chronili się przed upałem pod cieniem jej sklepienia, przekupnie wina i owoców ustawiali tu swoje kosze i naczynia — ale żelazny żołnierz nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, nie raczył na nich spojrzeć.

Cóż go obchodzić mogli tacy ludzie: handlarze wina, oliwy, żebracy? jego, rzymskiego żołnierza, który znał i rozumiał tylko wojnę, szanował tylko wojowników, a innych ludzi uważał za niegodnych nawet spojrzenia.

To też myślą odbiegał stąd daleko, okiem pamięci ścigał wojskowe zastępy, ciągnące niestrudonym pochodem na wroga, — widział krwawe utarczki i bitwy zacięte, szturmy warownych grodów i mężną obronę, orły rzymskie, połyskujące w powietrzu...

To było życie!

— Wojna! wojna! — grzmiało mu w duszy. — Spragniony jestem głosu trąb miedzianych i błysku broni i szczęku żelaza, widoku krwi i jęków i krzyków tryumfu!

Właśnie wprost bramy miejskiej rozciągało się obszerne pole, całe pokryte liljami. Żołnierz widział je codzień, ale nie przyszło mu na myśl, żeby to miało być piękne. — Niekiedy spostrzegał nawet, jak ludzie stawali na drodze, aby podziwiać piękność cudnych kwiatów, ale wtedy dziwił się tylko, jak można stać i patrzeć na taką nędzną łąkę. —

— Ha — myślał sobie — alboż tacy ludzie mogą wiedzieć, co jest piękne?

A kiedy tak pomyślał, znikaly mu z oczu oliwne gaje i pola zielone, otaczające Betleem dookoła, a widział znowu gorącą pustynię, spaloną żarem słońca, i legjon żołnierzy, idących szeregami po żółtym, niby w ogniu rozpalonym piasku. Nigdzie drzewa, ni źródła, ani schronienia żadnego, ani pokrzepiającej ochłody. Słońce żar sypie, w powietrzu żar pała, i ziemia ogniem dyszy, a nie widać końca tej strasznej drogi i kresu pustyni. Strudzeni żołnierze padają z pragnienia, giną od strzał słonecznych, umierają z głodu — lecz inni bez wahania idą dalej, idą, bo wódz przed nimi, którego opuścić nie wolno.

— To jest piękne! — szepnął w żelazo okuty żołnierz rzymski. — To jest godne spojrzenia walecznego męża!

Stojąc na warcie, mógł też widzieć codzień bawiące się na łące dzieci. Ale nie obcho-

dziły go więcej, niż kwiaty. Miałby też na co patrzeć!

— Czego się ci ludzie cieszą? — powtarzał zdziwiony, gdy przechodnie uśmiechali się na widok wesoło igrających pacholąt. — Że też ludzie umieją cieszyć się z byle czego.

Dnia jednego zobaczył wszakże trzyletniego może chłopczyka, który przyszedł z innymi bawić się na łąkę, ale nie był do nich podobny.

Było to ubogie dziecko, odziane skórką jag-nięcia. Odłączyło się od towarzyszków i bawiło się samo. Nie wiedząc o tem prawie, żołnierz nie spuszczał go z oka: coś w niem było takiego, co przykuwało uwagę. Spostrzegł też najpierw, że dziecko biegalo tak lekko, iż delikatne źdźbła trawy zaledwie pochylały się pod jego stopą. Ale zabawa dziecka jeszcze większe wywołała w nim zdziwienie.

— Na miecz mój! — rzekł nakoniec — to dziecko nie bawi się wcale, jak inne. Co ono robi i czem się tak cieszy?

Dziecko bawiło się o parę kroków, więc z łatwością mógł widzieć wszystko, co robiło. W tej chwili właśnie wyciągnęło rączkę, aby ostrożnie z liljowego kwiatu zdjąć ciężko obladowaną pyłkiem złotą pszczołkę. Pszczołka nie uciekała, ani bronila się żądłem. Chłopczyzna wziął ją w rękę i zaniósł do szczeliny w murze, otaczającym miasto, gdzie rój obrał sobie mieszkanie. Umieściwszy owad bezpiecznie na wystającym kamyku, pobiegł szukać innej pszczoły, równie obciążonej, ażeby jej dopomódz; i tak

dzień cały biegał pośród kwiatów, ratując pracowite, a strudzone pszczołki, jasny, uśmiechnięty i szczęśliwy.

Żołnierz przypatrywał się temu z niewypowiedzianem zdziwieniem.

— Cóż to za niedorzeczne dziecko! — myślał sobie. — Nic podobnego jeszcze nie widziałem. Nosić do ula pszczoły, które radzą sobie same i nie potrzebują pomocy od ludzi. Narażać się bez potrzeby na bolesne ukłucie żądlem! Dziwne dziecko. Co z niego wyrośnie, jeśli się wychował

Powtarzało się to codziennie. Chłopczyk co rano przybiegał na łąkę, a żołnierz coraz bardziej dziwił się jego zabawom.

Od trzech lat, jak tu stoję na straży — mówił sobie — nic mię do tego stopnia nie zajęło i nie zaprzętało mej uwagi.

Lecz widok dziecka nie sprawiał mu bynajmniej przyjemności, — przeciwnie, mimowoli nasywał mu na myśl okropną przepowiednię jednego z judejskich proroków. Zapowiadał on, że nadchodzi czas pokoju. Ustaną wszelkie wojny, — w ciągu lat tysiąca krew ludzka nie splami nigdzie matki ziemi, a ludzie zaczną się kochać, jak bracia.

Żołnierz rzymski, żelazny żołnierz, uczył dreszcz od stóp do głowy na samo przypomnienie tych słów niedorzecznych. Świat bez wojny, bez wojska, bez mieczów i krwawych tryumfów! — ależ czemże byliby wtedy ludzie? Cóżby się stało z mężnemi sercami, walecznością, odwagą? Okropne przypuszczenie!

I złany zimnym potem, mocniej ścisnął włócz-

nię, jak gdyby się bał rozstać z tem narzędziem śmierci.

A im dłużej przypatrywał się zabawom dziecka, tem częściej stawało przed nim straszne widmo świata bez wojen, krwi rozlewu i rycerskich czynów, — dręcząca mara tysiącoletniego pokoju. Nie obawiał się wprawdzie, aby to nastąpiło zaraz, ale sama myśl o tem była dla niego męką.

Jednego dnia zakryły niebo czarne chmury, i spadła taka ulewa, że wszystko, co żyło, szukało gdziekolwiek schronienia. Chłopczyk był na polu, pomiędzy liljami, — widział, z jaką siłą wielkie, ciężkie krople uderzały w śnieżne kielichy, i zaniepokoił się o piękne kwiaty. Ale co począć? Jakże je ocalić? Nagle ujął sztywną łodygę najpiękniejszej lilji i pochylił ją ku ziemi w taki sposób, że krople deszczu spływały po zewnętrznej stronie kielicha, nie wyrządzając szkody delikatnej roślinie. A uczyniwszy tak z jedną, pobiegł coprędzej do innych, i wkrótce na całym polu nie widać było wcale białych kwiatów, tylko schylone ku ziemi łodygi.

Na ten widok żołnierz nie mógł powstrzymać uśmiechu. — No — rzekł do siebie — zdaje się, że tym razem kwiaty niebardzo będą mu wdzięczne za pomoc. Naturalnie, wszystkie łodygi połamał, bo są zanadto sztywne, aby je tak zginać można.

Nakoniec deszcz przestał padać, chmury się rozproszyły, i jasne słońce ukazało się znowu na niebie. A wtedy strażnik ujrzał ze zdumieniem, jak dziecko, biegnąc od lilji do lilji, bez najmniej-

szego trudu podnosiło zgięte łodygi, które stały znów prosto, sztywne i nieuszkodzone, a cudne białe kwiaty uśmiechały się do słońca.

Wtedy gniew dziwny ogarnął żołnierza.

— Co to jest! — rzekł do siebie. — Co to wszystko znaczy? Nie widziałem takiego dziecka, i niktby temu nie uwierzył. Co to będzie za człowiek, kiedy dziś nie może znieść widoku zniszczonej lilji? Ciekawa rzecz, coby było, gdyby musiał iść na wojnę? Gdyby mu dano rozkaz podpalenia domu pełnego kobiet i dzieci, lub zatopienia okrętu wraz z całą załogą?

Znów przyszła mu na myśl stara przepowiednia, i zbudził się niepokój w jego sercu, czy chwila jej spełnienia nie jest bliska. Bo jeśli takie dziecko już istnieje?... jeśli jest takich więcej?... Pokój na całym świecie panuje w tej chwili, i może nigdy więcej wojna nie wybuchnie! Ludzie staną się wszyscy, jak to dziecko. Będą się obawiali szkodzić sobie nawzajem, i kto wie, czy z czasem nie dojdzie do tego, że nikt się nie ośmieli skrzywdzić pszczoły lub kwiatu! Co za życie! bez czynów bohaterskich, zwycięstw, tryumfów, — nic czego by zapragnąć mogło mężne serce!

Na tę myśl żołnierz rzymski zapłonął takim gniewem, że groźnie potrząsnął włócznią w stronę dziecka, gdy przebiegało blisko niego.

— Gdybym miał nie dożyć wojny — nie widzieć jej więcej — nie zdobyć sławy, łupów — przez takie stworzenie —

Gniew i rozpacz miał w sercu.

A tymczasem zdarzyło się raz coś takiego,

co wydało się żołnierzowi jeszcze nedorzeczniejszym i nową niechęć zbudziło ku chłopcu.

Dzień był gorący, duszny, promienie słońca zionęły żarem i spiekotą, a hełm i żelazna zbroja stojącego przy bramie żołnierza rozpały się, jak piec gorący. Przechodnie zauważyli, iż musiał cierpieć strasznie, stojąc w takiej ognistej zbroi, lecz on — choć mu wargi pękały od skwaru, oczy krwią zaszyły, a skóra pokryła się bąblami — stał nieruchomy i wyprostowany, dumny ze swojej siły, wytrwałości, okazując całą postawą, że nie potrzebuje żadnego schronienia, ochłody, że znieść może wszystko, on, żelazny żołnierz rzymski, zahartowany w piaskach afrykańskich pustyń.

Nie myślał o opuszczeniu stanowiska, na którym pełnił obowiązek, a jednak lada chwila mógł upaść bez życia. Wszystko jedno — to służba.

Nagle mały chłopczyk zbliżył się do niego. Wiedział on doskonale, że strażnik przy bramie nie należy do jego przyjaciół, i trzymał się zwykle z daleka. Dziś jednak podbiegł szybko, popatrzył na niego uważnie, znów poskoczył za drogę, a po chwili wrócił, niosąc w złożonych rączkach trochę wody.

— Cóż to znowu za koncept! — mruknął oburzony żołnierz. — Skąd mu przyszło do głowy przynosić mi wody? Bezrozumne stworzenie! Nie wie nawet, iż rzymski legjonista nie lęka się upału. Co za manja pomagać wszystkim, którzy go o to nie proszą? Obejdę się bez twojej dobroci, mój mały. Wolałbym, żeby takich, jak ty, wcale nie było na świecie.

קינרדער-בינריאטעם

פון ז. ב. ס. ווילנע.

Chłopczyk tymczasem szedł bardzo ostrożnie, mocno ściskając paluszki, ażeby woda nie uciekła między nimi. Oczy miał wlepione w ten chłodzący napój i dlatego nie widział, iż żołnierz stoi groźnie, ze zmarszczonem czołem i patrzy nań surowo. Zatrzymał się wreszcie przed nim i podniósł rączyny, aby je zbliżyć do ust spragnionego.

Ruchy jego były powolne, ostrożne, — tak się bał rozlać wodę. Jasne włosy w bujnych kędziorkach spadały mu na oczy, więc odrzucił je raz i drugi ruchem głowy; a gdy nakoniec podniósł wzrok na twarz żołnierza, nie uląkł się bynajmniej twardego wyrazu, — słodkim uśmiechem zdawał się zapraszać, aby zechciał przyjąć usługę i ochłodzić spalone usta.

Widok wody nęcił żołnierza, ale nie chciał przyjąć pomocy od dziecka, które za wroga swego uważał; więc stał, patrząc przed siebie, nieruchomy, udając, że nie widzi malca i jego daru.

Dziecko zaś — jakby nie domyślało się nawet, iż żołnierz odmawia przyjęcia pomocy, uśmiechało się z serdeczną ufnością, podnosiło rączęta i wspinało się na paluszki, aby strażnik łatwiej mógł dosięgnąć wody.

Żelazny wojak nie chciał znosić tego dłużej, — zdawało mu się, iż go ośmiesza to dziecko swą dziwną troskliwością i chciał je odpędzić groźnym ruchem włóczni.

Ale w tej samej chwili uczuł ogień w mózgu, czerwone plamy wzrok mu zasłoniły, całe ciało zdawało się płonąć, i czując, że upadnie, jeśli nie znajdzie ochłody, nie wiedząc prawie, co czyni,

rzucił włócznię, pochwycił dziecko w obie ręce, podniósł je w górę i wciągnął ustami kilka kropel wody, którą mu przyniosło.

Było jej tak niewiele, iż zaledwie zwilżyła mu język, ale więcej nie potrzebował. W całym ciele uczuł błogie orzeźwienie, hełm i zbroja przestały mu ciężyc i palić, upał stracił dla niego moc zabójczą, krwawe ognie nie zasłaniały już wzroku.

Zanim jednak pojął to wszystko, postawił dziecko na ziemi, a ono w jednej chwili pomknęło na pole. Żołnierz spojrział przed siebie, ale już go nie było, więc tylko myślał z najwyższem zdumieniem:

— Co za cudowną wodę przyniosło mi to dziecko? Jak żyję, nie piłem takiej. Doprawdy, powinieniem mu być wdzięczny.

Ponieważ jednak niecierpiał chłopczyńy, prędko o swem postanowieniu zapomniał. — To dziecko, — mówił sobie, — samo nie wie, co robi i dlaczego tak postępuje. Bawi się tylko wszystkim, co mu się podoba. Alboż lilje i pszczoły czują dla niego wdzięczność? Nie mam się o co troszczyć, — dzieciak nie wie nawet, że oddał mi taką przysługę.

W kilka minut po tem zdarzeniu Woltigiusz, dowódzca straży betleemskiej, zbliżył się do żołnierza.

Dreszcz przeszedł legjonistę, gdy ujrzał go przed sobą.

— No, — szepnął — trochę wcześniej, a zastałby

mię z dzieckiem na rękę! Oto jest dobrodziejstwo, które mogło mię drogo kosztować, — mnie, rzymskiego żołnierza!

I zaczął więcej jeszcze nienawidzić dziecka; nie mógł myśleć o niem bez gniewu.

— Czy mogę mówić tutaj, będąc pewny, że nikt nie usłyszy, co mam ci powiedzieć? — spytał cicho dowódzca.

— Odejdźmy w bok dziesięć kroków, a możemy być pewni, że nikt nas nie podsłucha — odparł żołnierz.

— Wiesz zapewne — mówił dowódzca — że w Betleem chowa się dziecko, które całemu światu grozi wielkiem niebezpieczeństwem. Wieszczykarze i kapłani króla Heroda oznajmili, że z czasem tron mu odbierze, a następnie utworzy królestwo pokoju, w którym nie będzie wojny przez lat tysiąc. — Rozumiesz, że król Herod nie może pozwolić, aby takie dziecko wyrosło na męża. Kilkakrotnie już usiłował dostać je w moc swoją i uczynić nieszkodliwym, ale —

— Ależ to chyba łatwo! — przerwał niecierpliwie żołnierz.

— Tak — odparł dowódzca — gdyby Herod wiedział, które to jest dziecko ze wszystkich dzieci betleemskich.

Zasepiło się czoło żołnierza, pokryły je brzozy głębokie.

— To szkoda — rzekł. — Wielka szkoda, że wróżbiarze nie mogą mu tego powiedzieć.

— Herod jednak wynalazł sposób, żeby uczynić dziecko nieszkodliwym — ciągnął dalek Woltigiusz —

giusz — i zdaje się, że tym razem pozbędzie się nareszcie młodego księcia pokoju. Musimy mu jednakże w tem dopomódz, za co każdemu hojną wyznacza nagrodę.

— Rozkaz i bez nagrody spełniony być musi — odparł żołnierz surowo.

— Tak jest, ale królowi wolno być hojnym dla swoich żołnierzy. Posłuchaj więc jego planu. Postanowił uroczyście obchodzić rocznicę urodzin najmłodszego syna i na wspaniałą ucztę sprosić wszystkie dzieci od dwóch do trzech lat z matkami. Skoro się wszystkie zbiorą, będzie pomiędzy nimi i przyszedłszy król pokoju, a wtedy...

Spostrzegł wyraz niechęci na twarzy żołnierza, więc uderzył go po ramieniu i dodał ze śmiechem:

— Przecież sobie nie wyobrażasz, że nas zaprasza na niańki podczas tej pięknej zabawy. Dajno ucho, to ci i resztę dopowiem.

I szeptał długo, długo, lecz tak cicho, że nie wiem, czy mogłaby go dosłyszeć pszczoła, unosząca się nad ich głowami.

— A teraz tajemnica i milczenie — rzekł Woltigiusz. — Lada nieopatrne słówko mogłoby wszystko popsuć.

— Wiesz o tem, Woltigiuszu, że na mnie liczyć można.

Dowódzca skinął głową i oddalił się równym krokiem, a żołnierz stanął znów na posterunku i zaraz mimowolnie spojrzął w stronę łąki, gdzie między liljami bawiło się dziecko. Patrzył, jak lekko, niby biały motyl, biega wśród kwiatów, wdzięczne, złotowłose — i nagle rozśmiał się głośno i dziko:

— Nie będzie mi już dłużej cierniem w oku — szepnął. — I ono tam się znajdzie, na uczcie Heroda.

Widocznie był zadowolony z tego, co nastąpi, a może chciał być pewnym, że jest zadowolony.

W kilka dni potem zamiast stać przed miejską bramą, żołnierz minął wązkie uliczki Betleem i wszedł do wspaniałego pałacu Heroda.

Wewnątrz tego budynku znajdował się obszerny, kamiennymi płytami wysłany dziedziniec. Otaczały go wkoło otwarte krużganki, umieszczone jedne na drugich w trzy piętra. Na najwyższym odbyć się miała ta uczta dla rówieśników syna królewskiego.

Obszerną tę galerję zamieniono w ogród wspaniały. Sklepienie jej okryły zielone gałęzie i pędy winogrodu, z których zwieszały się dojrzałe grona; pod ścianami i kolumnami ustawiono drzewka granatu i pomarańcz, okryte soczystym owocem; podłogę zasypano płatkami róż tak grubo, iż tworzyły miękką i wonną kobierzec, a na gzymsach, stołach i łóżkach, przeznaczonych dla gości do spoczynku, rozrzucono i rozwieszono wieńce i wianki lilji.

W marmurowych basenach były srebrzyste fontanny, pluskały się złote rybki w przezroczystej wodzie, na drzewkach siadało różnobarwne ptactwo, sprowadzone z dalekich krajów, a czarny kruk w klatce gadał bez ustanku.

Do tej galerji prowadzono wszystkie kobiety i dzieci. Dzieci przebierano u wejścia do pałacu w białe szatki z oszyciem purpurowem, a na główki wkładano im różane wieńce. Kobiety wcho-

dziły strojne w czerwone i błękitne szaty, w białych welonach na wysoko uczesanych włosach, przetykanych złotymi monetami i łańcuchami. Niektóre niosły dzieci na ramionach, inne prowadziły je za rączki, lub trwożliwe i nieśmiałe tuliły w objęciu.

Kobiety zasiadały w galerji na ziemi, i natychmiast niewolnicy ustawiali przed nimi niskie stoliki z wybornymi potrawami i napojem, jak przystoi na królewskiej uczcie.

I wszystkie te szczęśliwe matki zaczęły jeść i pić z wdziękiem i godnością, które stanowiły zawsze ozdobę kobiet betleemskich.

Wzdłuż galerji pod ścianą, zasłonięci prawie kwiatami i zielonością drzew, stali w podwójnym szeregu żołnierze, uzbrojeni, jakby gotowi do walki. Stali nieruchomi, niby żelazne posągi, nie wiedząc, co się dokoła nich dzieje.

Kobiety mimowolnie spoglądały od czasu do czasu w tę stronę.

— Poco oni tutaj? — szeptały do siebie. — Czyż Herod myśli, że się nie umiemy przyzwoicie zachować? Czy mu się zdaje, że trzeba żołnierzy, aby między nami utrzymać porządek?

Inne odpowiadały, że tak u króla być musi. Że podczas każdej uczty u Heroda pałac pełen jest zbrojnych żołnierzy. Że jest to cześć dla gości, przy których straż podczas zabawy trzymają.

Dzieci były z początku onieśmiałe i nieufne w obcym miejscu, to też tuliły się cicho do matek, — wkrótce jednak rozruszały się zupełnie

i zaczęły sięgać po wszystko, co tu dla nich przygotowano.

Był to prawdziwie kraj zczarowany, cuda w nim były dla maleńkich gości. Tu ule pełne miodu, z których brać można, ile się podoba, bo żadna pszczoła żądłem nie zagrozi, — tam niskie drzewka zginają gałęzie, obciążone słodkim owocem, — tu kuglarz pokazuje najzabawniejsze sztuki i napelnia ich rączki ślicznymi cackami, — tam pogromca tygrysów, które są tak grzeczne, że pozwalają dzieciom jeździć na swych grzbietach.

Nic jednak nie zajmuje ich tak bardzo, jak ten szereg zbrojnych żołnierzy pod ścianą. Nie mogą oderwać oczu od błyszczących hełmów, srogich twarzy i krótkich mieczów w pozłocistych pochwach.

Bawiąc się i biegając, ciągle spoglądają ku nim; — trzymają się z daleka, ale chciałyby się zbliżyć, dotknąć, zobaczyć, czy to żywi ludzie, czy mogą się poruszyć.

Na galerji coraz głośniej i weselej, wzrasta radość, ruch, życie, — tylko żołnierze stoją ciągle nieruchomi. I jakże się nie dziwić? Dzieciom wydawało się to niepojętem, że ktoś może tak blisko stać obok winogron, obok tyłu łakoci, i nie wyciągnąć ręki, nie dotknąć niczego!

Czy to tylko żywi, prawdziwi żołnierze?

Nakoniec jeden z chłopców nie mógł się powstrzymać: ostrożnie, na paluszkach, z uśmiechem na twarzy, rzucając na towarzyszy tryumfujące spojrzenia, zaczął się zbliżać ku zbrojnej postaci. Posuwał się powoli, gotów do ucieczki. Ale żołnierz

stał nieruchomy. Ośmielony chłopczyzna znalazł się tuż przy nim, dotknął jego sandałów i nagolennika¹⁾.

Nagle — jakby to było jakąś straszną zbrodnią — poruszyli się wszyscy ci żelazni ludzie, chwytając dzieci z nieopisaną wściekłością. W mgnieniu oka podrzucali je wysoko i strącali z galerji na kamienne płyty dziedzińca, rozbijali o ściany, przebijali mieczem, a wszystkie rzucali na dół, na kamienie.

Strasza cisza zaległa na galerji — nieszczęsne matki skamieniały z przerażenia.

Nagle ocknęły się i z strasznym krzykiem rzuciły na morderców.

Po galerji biegały jeszcze dzieci, które podczas napadu stały dalej od żołdaków; — zaczęła się okropna pogoń. Żołnierze usiłowali je pochwycić, matki rzucały się przed nimi na kolana, chwytaly ich za nogi i za ostre miecze, błagały, przeklinały, szarpały się z nimi...

Jedne tylko schody prowadziły na tę galerję, nie było z niej innego wyjścia. Tu na najwyższym stopniu stał żołnierz z mieczem w ręku. Był to znany nam strażnik bramy miejskiej. Nie brał on udziału w walce i mordowaniu dzieci, ale stał nieruchomy z wydobytym mieczem i nie przepuszczał kobiet, które porwawszy dzieci, chciały z niemi tędy uciekać.

Stał, jak posąg z żelaza, tak straszny i groźny, że nieszczęśliwe matki prędzej znalazłyby ucieczkę,

¹⁾ Część zbroi, osłaniająca nogę.

rzucając się wprost z galerji na kamienie, niż usiłując przemknąć koło niego.

— Dobrze wybrał Woltigiusz, wyznaczając mi to stanowisko, — myślał żołnierz. — Młody i nierozważny byłby je dawno opuścił, rzucając się w wir walki, a tymczasem ileż dzieci mogłoby uciec tędy?

Właśnie w tej chwili spostrzegł bardzo młodą, złotowłosą kobietę, która porwawszy dziecko biegła wprost ku niemu. Nikt jej nie zatrzymywał, gdyż wszyscy żołnierze zajęci byli walką, — za chwilę dopadnie schodów, będzie ocalona!

— Ho, ho! — tej się wydaje, że już umknie! — pomyślał żołnierz. — I gdyby mnie nie było —

Wyciągnął miecz, kobieta nie zważała na to, zdawało się, że leci wprost na ostrze, że za chwilę padnie przebita —

Nagle żołnierz usłyszał lekkie brzęczenie nad głową, a jednocześnie uczuł straszliwy ból w oku.

Nieprzytomny prawie upuścił miecz z ręki i chwycił się za oko.

Teraz dopiero pojął, co się stało: to drobna pszczoła ukuła go żądłem tak boleśnie! Zgniótł ją w pięści z wściekłością, porwał miecz na nowo, — ale kobiety już przed nim nie było.

Niewątpliwie uciekła. Rzucił się za nią w po-goń, ale zniknęła z dzieckiem, — nie odszukał jej śladów.

Dnia następnego żołnierz stał znowu przy bramie, w towarzystwie innych, a wszyscy

bacznie patrzyli na drogę, gotowi pojmać każdego przechodnia, który się tu ukaże.

Lecz nikogo nie było. Godzina jeszcze wczesna, bramę tylko co otwarto; nikt dziś nie czekał na to, nikt nie przechodził przez nią, zdawać się mogło, że wszystko wymarło. — Nie, tylko ludzie zdrętwieli z boleści, nie mogli pojąć dotąd, co się stało; skamienieli ze zgrozy. Okropne widmo rzezi unosiło się ponad miastem, zamknęło wszystkie domy, serca ludzkie przeszło mieczem bólu.

Nikt nie myślał dzisiaj o pracy.

— Na mój miecz! — odezwał się żołnierz rzymski do towarzyszy — zdaje mi się, że Woltigiusz źle obliczył. Najlepiej było właśnie zamknąć bramy, a wszystkie domy przeszukać dokładnie, — wtedy niezawodnie znaleźlibyśmy chłopca, którego matka uniosła z pałacu. Woltigiusz myślał, że zastawia pułapkę, gdyż będą się starali co najprędzej usunąć dziecko i wpadną tutaj w nasze ręce, ale — to może się wcale nie udać. Małoż to jest sposobów, aby na chwilę ukryć małe dziecko przed najczujniejszym okiem?

I zaczął rozmyślać o tem, w jaki sposób będą usiłowali rodzice wynieść dziecko za bramę miasta. Może ukryją je w koszu od jarzyn, albo w dzbanie oliwy, albo w worku zboża?

Tyle worków, koszów i dzbanów przenoszają codziennie przez bramę, — czyż podobna przetrząsać całe karawany?

Gdy tak stał, rozważając, w jaki sposób mógłby najskuteczniej zapobiedz ucieczce tej jedynej kobiety, która w pałacu Heroda ocaliła swe

dziecko, ujrzał od strony miasta zbliżających się szybko ku bramie mężczyznę i kobietę. Szli z widocznym pośpiechem, oglądając się trwożnie za siebie, jakby uciekali przed niebezpieczeństwem. Mężczyzna miał w ręku topór i trzymał go silnie, zdecydowany bronić się w razie potrzeby.

Żołnierz baczna uwagę zwrócił na kobietę. Ze wzrostu wydała mu się podobną do tamtej, która wczoraj przed nim umknęła. Zwierzchnia odzież, spływając z głowy, osłaniała ją całą; — może umyślnie zarzuciła ją w taki sposób, aby ukryć dziecko na ręku?

Im bardziej się zbliżali, tem wyraźniej widział kształty dziecka pod szatą. Nie miał już prawie żadnej wątpliwości.

— Pewny jestem, że to ta sama, która mi uszła wczoraj — myślał uradowany. — Nie poznałbym jej wprawdzie z twarzy, ale postać wysoka przypomina ją zupełnie. I nie stara się nawet ukryć dziecka, które niesie. Prawdziwie traf szczęśliwy.

Mężczyzna i kobieta nie spodziewali się widocznie, aby ktokolwiek zatrzymał ich w bramie, to też drgnęli, gdy żołnierz włócznią zagroził im drogę.

— Dlaczego nas zatrzymujesz? — zapytał mężczyzna. — Idziemy w pole do roboty.

— Możesz iść — odparł żołnierz — muszę tylko zobaczyć, co ta niewiasta ukrywa pod szatą.

— Niema co oglądać, niesie chleb i wino, codzienny nasz posiłek.

— Może i prawdę mówisz — odpowiedział

żołnierz — ale czemuż dobrowolnie nie chcesz mi tego pokazać?

— Nie chcę — rzekł mężczyzna — i puść nas natychmiast, bo —

Podniósł topór z groźnem spojrzeniem, ale kobieta szybko położyła mu rękę na ramieniu.

— Daj pokój — rzekła — nie zaczynaj sporu. Pokażę mu, co niosę, i przekonana jestem, że nam nie zrobi nic złego.

Z uśmiechem szczęścia, ufności i dumy zwróciła się do żołnierza i uchyliła lekko rąbek szaty.

Żołnierz cofnął się nagle i przymknął oczy oslepiony. To, co kobieta niosła, było tak olśniewającej białości, że w pierwszej chwili nie poznał nawet, na co patrzy.

— Myślałem, że ukrywasz dziecko — rzekł zdziwiony.

— Widzisz, co niosę — odparła spokojnie.

Widział snop białych lilji, takich samych, jak te, co rosły na polu tuż przed nim, — tylko jaśniały takim blaskiem, że nie mógł na nie patrzeć bez zmrużenia oczu.

Pochylił się jednakże i sięgnął ręką między kwiaty: nie mógł się pozbyć myśli, że kobieta ukrywa dziecko, — ale czuł tylko miękkie płatki kwiecica.

Rozgniewał go ten zawód, i w złości najchętniej byłby uwięził tych ludzi, — nie miał jednakże żadnego powodu.

— Więc puść nas — rzekła kobieta, widząc jego pomieszanie.

Cofnął włócznię i sam usunął się na bok.

Kobieta zasłoniła znów kwiaty odzieniem, a mijając żołnierza, rzekła doń spokojnie:

— Wiedziałam, że mu nie zrobisz nic złego, jeśli ci go pokażę.

I oddalili się spiesznie, a żołnierz stał znów nieruchomy i patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli z oczu.

A gdy ich ścigał wzrokiem, widział coraz wyraźniej, że kobieta niesie dziecko na ramieniu, — nie pęk lilji, lecz żywe dziecko. Teraz był tego pewny.

Jeszcze patrzył przed siebie, nie wiedząc, co począć, gdy usłyszał wołanie od strony ulicy: to Woltigiusz nadbiegał z kilku żołnierzami.

— Zamykaj bramę! — wołał. — Nie puszczaj nikogo!

Zatrzymali się przed strażnikiem zadyszani: już znaleźli ślad chłopca, który uszedł wczoraj, — byli w domu jego rodziców, lecz ci właśnie uciekli przed chwilą, — widziano ich pomykających ku bramie: ojciec silny mężczyzna siwobrody, matka wysoka, dziecko ukrywa pod szatą, zarzuconą na głowę.

W sercu żołnierza zawrzał gniew okrutny: — więc poraz drugi uszła, i przez niego?...

Właśnie w bramę wjeżdżał Beduin¹⁾ na koniu. Żołnierz nie mówiąc słowa, rzucił się na niego, ściągnął go z siodła, sam dosiadł rumaka i popędził drogą przed siebie.

¹⁾ Jeździec arabski.

W kilka dni potem żołnierz rzymski jechał górzystą pustynią południowej Judei. Ścigał on troje zbiegów betleemskich i szalał z gniewu, że dotąd pościg jego był daremny.

— Możliwość doprawdy myśleć, że ci ludzie znają sztukę zapadania się pod ziemię — mówił. — Ileż to razy miałem ich przed sobą, prawie na odległość rzutu włóczni, a zawsze mi umknęli. Zaczynam się obawiać, że ich nigdy nie dogonię.

Rzeczywiście tracił odwagę, jak człowiek, który zaczyna wierzyć, iż ma do czynienia z siłą nadprzyrodzoną. Czyżby ci ludzie byli pod opieką bogów?

— W takim razie pocóż się trudzę? — myślał sobie. — Lepiej wrócić, zanim zginę z głodu albo pragnienia w pustyni.

Ale natychmiast inna opanowała go trwoga. Wiedział dobrze, co go czeka, jeśli powróci z niczem. Dwa razy z jego winy dziecko uniknęło śmierci: czyż Herod i Woltigiusz mogą mu przebaczyć?

— Ponieważ Herod nie jest pewny tronu, póki ten chłopiec żyje — mówił sobie — więc niezawodnie zechce pomścić się na mnie za swą mękę i niepokój, i każe mię przybić do krzyża.

— Muszę to dziecko znaleźć, niema innej rady.

Było skwarne południe. Nigdzie kropli wody ani chłodzącego cienia, — rozpalone powietrze ani drgnęło; koń i jeździec upadali ze znużenia.

Od kilku godzin stracił jeździec ślad uciekających, nadziewa go opuszczała, a z nią siła i wytrwanie.

קתרער-ביבליאטעק

פון צ. ב. ק. ווילנע.

— Poco się męczyć dłużej? — myślał sobie. — Nie odszukam ich nigdy, to trudno. I tak zginać tu muszą.

Gdy tak rozmyślał, ujrzał w skalistej ścianie niewielkiego wzgórza sklepione wejście do podziemnej groty.

Natychmiast zwrócił konia w tym kierunku. Odpocznę trochę w chłodzie — myślał sobie. — Może odzyskam siły do dalszego trudu.

Lecz gdy chciał wejść do groty, uderzył go niezwykle widok: po obu stronach wejścia rosły dwie przepyszne lilje, okryte białym kwiatem. W suchym, rozpalonym piasku stały prosto zielone, soczyste lodygi, śnieżne kielichy rozlewały woń miodową, a roje pszczół złocistych unosiły się nad nimi.

Był to tak nadzwyczajny dziw w pustyni, iż żelazny żołnierz rzymski, który dotąd nigdy nie patrzył na kwiaty, stał przez chwilę zdumiony, potem wyciągnął rękę, złamał jedną lodygę i zabrał biały kwiat z sobą do jaskini.

Grota nie była głęboka, ani ciemna, i zaraz spostrzegł, że spoczywa w niej troje wędrowców: mężczyzna, kobieta i dziecko; pogrążeni w śnie głębokim, leżeli na chłodnej skale.

Nigdy jeszcze serce żołnierza nie biło tak mocno, jak teraz, kiedy poznał, że odszukał zbiegów, których tak długo ścigał nadaremnie. Leżeli przed nim bezbronni, uśpieni; znajdowali się w jego mocy.

Miecz świsnął, kiedy wydobywał go z pochwy;

teraz uważnie skierował go w serce chłopczyny, ażeby jednym ciosem śmierć mu zadać.

Przedtem jednak z uśmiechem wpatrzył się w uśpione dziecię: sprawiało mu to rozkosz niewypowiedzianą: — już mu nie umknie, może być pewny zwycięstwa!

I nagle poznał dziecię, które widywał przy bramie, bawiące się pszczołami i liljami. To podwoiło jeszcze jego radość.

— Mogłem się tego od razu domyślić — powiedział sobie. — Teraz rozumiem, dlaczego tak niecierpiałem tego chłopca: to jest księżę pokoju, przez proroka zapowiedziany!

Pochylił się niżej i szeptał z uciechą:

— Kiedy u stóp Heroda złożę głowę tego dziecka, uczyni mnie dowódcą swej przybocznej straży.

Koniec miecza dotykał prawie ciała dziecka w tem miejscu, gdzie uderzało jego serce.

— Teraz nikt cię nie wyrwie z mojej ręki — szepnął — nikt cię już nie ocali.

Uśmiechnął się.

Z kielicha lilji, którą trzymał w ręku, wyleciała pszczołka złocista i brzęcząc, krążyć zaczęła koło jego głowy.

Żołnierz drgnął. Przypomniawszy sobie, że to pszczoła ukuła go w oko podczas rzezi u Heroda, — pszczoła ocaliła dziecię, które pomagało obciążonym pszczołom.

Zdumiał się żołnierz, — podniósł głowę, ale pszczoła uleciała, nie słyszał już jej brzęczenia.

A gdy tak stał zdziwiony, uczuł słodki zapach lilji, którą trzymał w ręku.

I przypomniało mu się, jak chłopczyna ratował lilje przed ulewą, a zarazem ujrzał przed sobą pęk lilji olśniewającej białości, które przed jego wzrokiem osłoniły dziecko, aby bezpiecznie mogło przejść przez bramę.

Cofnął miecz, coraz bardziej zamyślony.

— Pszczoła i lilje wywdzięczyły się za dobrodziejstwa, — szepnął.

Wtem stanęło przed nim wspomnienie tej chwili, kiedy dziecko przyniosło mu w rączkach trochę wody podczas zabójczego skwaru.

— Czyż rzymski legionista odplaci mordem za przysługę? — szepnął.

Nastąpiła chwila krótkiej walki z sobą: stanął mu w myśli Herod i własne pragnienie zgładzenia ze świata księżęcia pokoju.

— A jednak nie przystoi mi zabijać dziecka, które ocaliło mi życie — rzekł wkońcu.

Schylił się, dziwnem uczuciem przejęty, i położył miecz obok dziecka, aby za przebudzeniem mogli poznać, jakie groziło im niebezpieczeństwo.

Wtedy ujrzał, że dziecko już nie spało. Patrzyło na niego pięknymi oczyma, jaśniejącymi w tym mroku, jak gwiazdy.

I żołnierz zgiął kolano przed dziecieniem.

— Panie, tyś potężny! tyś zwycięzca! — wyrzekł. — Tyś jest ten, którego bogowie miłują. Tyś jest, który po węzłach stapać możesz.

Ucałował stopy świętego dzieciątka i szybko opuścił grootę; — a chłopię patrzyło za nim szeroko rozwartemi, wiedzącemi oczyma.

קינדער-פיליאטעק

פון צ. ב. ה. סטאטן

